

Ucieczka do Black Waters

Marina biegła przez noc, co sił w nogach. Śnieg skrzypiał pod stopami, a mróz dawał się we znaki. Cieńki, połatany płaszcz w pośpiechu porwany z haczyka przy drzwiach, zapewniał słabą ochronę przed zimnem i wiatrem. Uciekała już dobre cztery kilometry, klucząc między drzewami. Przez cały czas kurczowo ścisnęła swoją maleńką, ukochaną córeczkę, która nieświadoma tego, co jej grozi i mimo siarczystego mrozu spokojnie spała owinięta w kożuch z owczej wełny. Ten kożuch. Jedyne co pozostało po Arnoldzie. Kiedy przyszli po dziecko szybko zrzucił go z ramion i podał żonie. To była jedna z ostatnich rzeczy jaką mógł zrobić dla niej i dla córki. Marina wiedziała, że jej mąż był silny i odważny, ale na jak długo mógł powstrzymać Łowców. Chwilę przytrzymał ich przy drzwiach rozmową, potem siłą. Prędzej czy później i tak weszli do chaty, a kiedy zorientowali się, że nie ma tam dziecka Arnold z pewnością został ugodzony sztyłem w pierś. Pytanie jak długo to trwało? Może na tyle, żeby Marina zdążyła dotrzeć do celu na czas, a może wręcz przeciwnie? Co jeśli teraz obserwują ją zza drzew? Kobieta zaraz porzuciła tę myśl. Jednak mimo woli rozejrzała się. Nie zauważyła nic podejrzanego, ale coś podświadomie kazało jej przyśpieszyć.

Marina zatrzymała się na skraju rozległej polany. Przyłgnęła plecami do pnia najbliższego drzewa twarzą zwrócona w kierunku przestrzeni roztaczającej się przed nią. Poświęciła chwilę na uspokojenie oddechu i zaczęła nasłuchiwać. Wszystkie dźwięki wydawały się w zupełności normalne. Szeleściły gałęzie drzew poruszane wiatrem, od czasu do czasu dało się słyszeć sowy. Musiała przemyśleć swój następny ruch. Było oczywiste, że jeśli wejdzie na polanę będzie doskonale widoczna. Stanie w miejscu także było fatalnym pomysłem. Nie miała innego wyboru. Wzięła głęboki wdech i ruszyła przed siebie. Wszystkie mięśnie miała napięte i gotowe do ucieczki. Dystans do linii drzew po przeciwnej stronie zdawał się nie mieć końca. Wszystkie zmysły Mariny były wyostrzone. Co chwila spoglądała za siebie, aby się upewnić, że nikt nie wynurzył się z lasu. Na widok majaczących w oddali świateł małego miasteczka Black Waters na jej twarzy zagościł zmęczony uśmiech. Jeśli ona widziała światła to oznaczało, że była w zasięgu wzroku Strażników mających swój mały garnizon w mieście. To dodało jej otuchy ale nie pozwoliło zwolnić kroku, wręcz przeciwnie, przyśpieszyła. Poczła jak jej ciało jest niesione przytływem nowych sił. Teraz już nic nie mogło pójść źle. Zaczęła biec, a łzy radości napływały do oczu. Udało się, uratowała swoją córkę. Śmierć jej męża nie poszła na marne.

Nagle wiatr ustał, a razem z nim przestał padać śnieg. Zapadła wszechobecna cisza. Radość natychmiast ustąpiła miejsca paraliżującemu strachowi. Kobieta wiedziała, że nadchodzi coś złego. Ciszę brutalnie przerwało wycie wilka. Potem drugie, trzecie, czwarte i piąte. Te dźwięki świdrowały umysł Mariny. Odwróciła się w stronę linii drzew, od której zdążyła znacznie się oddalić. Na polanę wkroczyło pięć wilków o takich rozmiarach, że nawet z tak dużej odległości jaka dzieliła je od kobiety, sprawiały wrażenie ogromnych. Bestie stanęły wpatrując się w zdobycz. Jeden z nich uniósł głowę do góry i wydał z siebie ogłuszające wycie, które poniosło się echem w nocnej ciszy. To był znak, po którym wilki ruszyły przed siebie w zastraszającym tempie. Marina z przerażeniem rzuciła się do ucieczki, krzycząc w nadziei, że ktoś ją usłyszy. Z rozpaczą wpatrywała się w okna domów, które były coraz bliżej, starając się dojrzeć jakieś ruchy w ich wnętrzu. Niestety dystans do miasteczka był wciąż zbyt duży, aby cokolwiek zobaczyć.

Postanowiła spojrzeć za siebie. Widok, który ukazał się jej oczom, zmroził kobiecie krew w żyłach. Bestie znajdowały się w odległości około sześćdziesięciu metrów i tak jak myślała na początku, były ogromne. Wielkie, umięśnione cielska opadały i podnosiły się, a temu wszystkiemu towarzyszył głuchy odgłos łap uderzających o śnieg.

Wilk, który biegł na czele sfory w mgnieniu oka przemienił się w człowieka w czarnym płaszczu z kapturem zarzuconym na głowę. U pasa wisiał krótki miecz, a nad prawym barkiem wystął długi łuk. Ten sam łuk momentalnie znalazł się w dłoni swojego mrocznego właściciela. Marina wydobyła z siebie jęk, gdy stwierdziła, że broń jest wycelowana w nią. Odwróciła głowę i pochyliła się do przodu, wydobywając z siebie ostatnie siły, aby biec jak najszybciej jest to możliwe. Nagle usłyszała świst strzały przedzierającej się przez mroźne powietrze, po czym poczuła potworny ból w plecach. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i padła na ziemię. Nie potrafiła złapać tchu. Bardziej martwiła się o swoją córkę, która za sprawą nagłego wstrząsu obudziła się i zaczęła płakać. Marina przytuliła ją z całych sił i spojrzała w stronę, z której nadleciał pocisk. Nieznajomy stał w bezruchu w tym samym miejscu, w którym ostatni raz go widziała. On jednak martwił ją najmniej. Cztery bestie dzieliło od niej już tylko dziesięć metrów. Kobieta wiedziała, że teraz jej dziecko może uratować już tylko cud.

Taki też się zdarzył. Od strony wioski poleciały dwie strzały, które trafiły w dwa wilki biegnące po bokach. Bestie padły na śnieg martwe pozostawiając za sobą dwa rowy. Po chwili nadleciały kolejne strzały, ale nie trafiły w cele, ponieważ te uskoczyły zmieniały formę i w kierunku Mariny biegli dwaj mężczyźni w płaszczach. Gdy byli w odległości około pięciu metrów od kobiety przed nimi zmaterializowały się dwie postacie z obnażonymi mieczami. Miały na sobie długie zielone kurki i spodnie, ale nie miały kapturów. Cztery sylwetki starły się ze sobą. Brzęknęła stal, po czym dało się słyszeć dwa krótkie okrzyki bólu i mężczyźni w czarnych płaszczach padli na ziemię. Po łuczniku, który trafił Marinę nie było ani śladu. Postacie podbiegły do kobiety. Jedna z nich przykucnęła przy niej. Był to mężczyzna. Podała mu płaczące dziecko, mówiąc urywanym głosem:

- Na imię... ma... Akra. Znamię... na... dłoni. - To były ostatnie słowa Mariny, oczy się zamknęły, a pierś opadła ostatni raz. Mężczyzna delikatnie chwycił rączkę dziewczynki. Na dłoni znajdowało się znamię w kształcie smoczej łuski. Na ten widok głośno wciągnął powietrze i znaczącą spojrzał na postać stojącą obok niego.

Igor Tymusz 1 b LO